

Kochamy miasto rodzinne za wspomnienia naszego dzieciństwa i młodości. Minęły dziesiątki lat, a ja wciąż oglądam dziecinnymi oczami skwer na placu Litewskim i nieprzebyty w swoim ogromie dla dziecięcych nóg Ogród Saski, zachwycają mnie wyczyszczone do blasku litery na Hotelu Europejskim, wdycham mocny zapach mielonej kawy, dolatujący z eleganckich sklepów kolonialnych w pobliżu kościoła Kapucynów, czuję na języku niezapomniany smak czekoladowych ciastek od Semadeniego, mam w uszach zgiełk panujący w dni targowe na Świętoduskiej i urzeka mnie wspomnienie ożywionego ruchu w okolicy ulicy Lubartowskiej, gdzie kupcy żydowscy w czarnych kapeluszach i w chałatach namawiają przechodniów do odwiedzenia ich ciasnych sklepików, pełnych wszelkiego handlowego dobra.

Wracam myślą do najelegantszej części Lublina, do Krakowskiego Przedmieścia, od Bramy Krakowskiej po imponujący gmach Izby Przemysłowców Lubelskich i kawiarnię Rutkowskiego, gdzie chodniki wypełniał tłum przechodniów najrozmaitszego pochodzenia społecznego; wystarczył jeden rzut oka. by domyślić się, skąd kto pochodzi i czym się zajmuje, każdy bowiem ubierał się i prowadził odpowiednio do swego stanu i pochodzenia. Zamożny ziemianin, zjeżdżający do Lublina ze swego majątku, by załatwić interesy lub zabawić się w słynnej z dobrej kuchni Lubliniance, mijał się na chodniku z ubogim, lecz schludnie ubranym majstrem murarskim lub malarzem pokojowym; hałaśliwe grupki młodzieży w czapkach gimnazjalnych i studenckich wyprzedzały spiesznym

krokiem statecznie postępującego przybysza ze wsi, ubranego w burą sukmanę i samodziałowe pasiaste spodnie: czasem prześliznął się między nimi brodaty przechodzień w lisiej czapce i długim płaszczu, jeśli komuś udało się pochwycić urywki dobiegających rozmów, usłyszał język jędrny, bogaty i barwny, bez cienia prześladowanej nas dziś na ulicach wulgarności, nierzadko z przymieszką białoruską, ukraińską czy żydowską.

Wystarczyło z kolei przekroczyć granicę Bramy Krakowskiej, by zagłębić się w całkowicie odmienny i zawsze tajemniczy - może wskutek tego, że tak zanurzony w historii - świat Starego Miasta, oddychający własnym, odrębnym życiem, jak gdyby odgradzały go nadal od nowszych dzielnic mury obronne, od dawna już przecież nic istniejące. Bo Stare Miasto pielęgnuje swoją odmienność i niezależnie od tego, co dzieje się poza nim, stanowi jakby osobne centrum, żyjące samo dla siebie. Któż zresztą zaprzeczy, że jest to najczcigodniejsza część Lublina, mówiąca o dawnej jego powadze i zamożności, o umiłowaniu sztuki przez patrycjat i mieszczaństwo minionych wieków, fundatorów tutejszych kamienic, klasztorów i kościołów, wyniosłych bram strzegących dostępu do miasta, Ratusza i Zamku. To im, ich dbałości o piękno zawdzięczamy urodę kamienic w Rynku, często zwieńczonych attykami, tak typowymi dla lubelskiego renesansu i zdobnymi w sgraffita i rzeźby, których fragmentarycznym, zachowanym do dziś przykładem jest kamieniczka Pod Lwami.

Ten, kto nie zadowolając się podziwianiem fasad i portali, wśród których trafiają się renesansowe i go-

ryckie, zajrzy za bramy domów, znajdzie niejednokrotnie obiekty równie godne podziwu: głębokie sienie wejściowe z gotyckimi sklepieniami i piętrowe krużganki, obiegające wokół dziedzińca. Warto też spenetrować piwnice, czasem nawet trzykondygnacyjne, jak w kamienicy Lubomelskich, gdzie niegdyś mieściła się winiarnia i gdzie dotąd zachowały się renesansowe freski o tematyce świeckiej, a nawet frywolnej, przedstawiające obok motywów roślinnych sceny zachęcające do korzystania z uciech wina i miłości, którym patronuje postać Wenus. Wino z pewnością podawano na miejscu, płatną miłość zaś, w tanim wydaniu, znaleźć można było mi obok, bo za Bramą Rybną, gdzie krył się prowadzony przez miejskiego kata dom publiczny, utrzymujący się tu przez czas dłuższy, mimo bliskiego sąsiedztwa z klasztorem i kościołem Dominikanów na ulicy Złotej. Kościół ten i klasztor to najpiękniejsze chyba z zabytków sakralnych Lublina, gotyk i renesans współżyją tu w zgodnej harmonii. Okolice, o których mówimy, a zwłaszcza ulica Grodzka i Podzamcze, zamieszkałe były w czasach międzywojennych przez biedotę polską i żydowską, prowadzącą często handel uliczny, co nadawało tej części miasta swoisty charakter.

Z perspektywy lat ta właśnie okolica budzi wspomnienia najbardziej pobudzające wyobraźnię, najbardziej malarskie, a przecież jakby przesłonięte mgłą tajemnicy i nostalgii. Podobną – być może – mgłą, jaka cechuje wiele lubelskich zdjęć Hartwiga, Pamięć przywraca tamte dni, przed oczami przesuwa się sceny i obrazy dziś już nie do powtórzenia; o wczesnym ranku zakutana w chustkę stróżka zamiata brzoźwą miotłą rozelśnioną w pierwszych promieniach jezdni, wozem zaprzęgniętym w chudego konia wlezie senny woźnica węgiel, który wysypie zaraz na chodnik przy piwnicznym okienku, odzywają się dzwony w kościele dominikańskim i w Katedrze, w dzień świąteczny przejdzie ulicami staromiejskimi powolnym krokiem uroczysta procesja i rozniesie się nabożny śpiew.

Z nadejściem zmierzchu zapalają się latarnie, z piekarń dolatuje zapach świeżego chleba i placków z cebulą, w dni szabasu w oknach wielu domów zapalają się świece.

Współżycie wielu odmiennych kultur, języków i wyznań sprawiło, że Lublin stał się jakby przedsionkiem kresów, które przez swą różnorodność językową i religijną tak wzbogaciły polską kulturę. Obok licznych klasztorów i kościołów wznosiły się tu cerkwie i bożnice, ośrodkiem wyższych studiów był nie tylko Katolicki Uniwersytet Lubelski, ale i Wyższa Szkoła Rabinacka. Ta właśnie różnorodność sprawia, że Lublin jest tak bliski mojemu sercu.

Na atmosferę lubelskiego Starego Miasta szczególnie wrażliwi byli poeci i malarze, Józef Czechowicz poświęcił mu – wraz z Franciszką Arnsztajnową – zbiór zatytułowany *Stare Kamienie*, wiążąc w ten sposób na zawsze swoje nazwisko z Lublinem. Nie brakło zresztą temu miastu szczęścia do wielkich ludzi. W jednym z domów na ulicy Grodzkiej urodził się pieśniarz polskiej ziemi Sebastian Klonowicz, uhonorowany przez miasto wyborem na rajcę miejskiego, a następnie na burmistrza. Mieszkańcami Lublina byli okresowo Józef Ignacy Kraszewski i Andrzej Strug, który urodził się w Lublinie, Bolesław Prus zaś i Aleksander Świętochowski ukończyli gimnazjum lubelskie, mieszczące się w tym samym gmachu, który w okresie międzywojennym zajmowały kolejno dwa wyróżniające się wysokim poziomem nauki gimnazja państwowe: męskie, imienia Stanisława Staszica, i żeńskie – Unii Lubelskiej. Czyż absolwenci tych szkół – a mnie właśnie zdarzyło się kończyć Unię – nie mogą być dumni z tak znakomitych poprzedników? Warto również wspomnieć o Henryku Wieniawskim, związanym z Lublinem przez zamieszkującą tu rodzinę, którą często odwiedzał.

Urodę swoją zawdzięcza Lublin niezwykle malowniczoemu położeniu na rozległych wzgórzach. Zmusiło to budowniczych do przystosowania układu ulic do spadków i wzniesień terenu, wpłynęło na nieregularny

kształt Rynku. Malarzom bardzo przypadły do gustu te pełne fantazji zaułki staromiejskie z prześwitami na zabytkową architekturę, toteż często spotkać ich było można z pędzlem w ręku, przed rozstawionym na chodniku blejtramem. Lublin międzywojenny skupiał zresztą liczne grono miłośników tego miasta, nie tylko malarzy i poetów, ale po prostu ludzi zakochanych w tym mieście. Należał do nich również Edward Hartwig, któremu udało się w fotografii utrwalić dla przyszłości wygląd i atmosferę Lublina. Jego zdjęcia, powstające z motywów czysto artystycznych, nabrały charakteru dokumentu dzisiaj, kiedy Starówka wciąż jeszcze nie podźwignęła się w pełni z katastrofy wojennej i zaniedbań minionych lat, a całkowity brak ludności żydowskiej w tej części miasta po dramacie Holocaustu sprawił, że odmienił się jej wygląd i atmosfera.

Edward Hartwig nie ograniczał się do penetrowania uroków miasta, wyprawiał się też chętnie w okolice Lublina, na Wieniawę, Wrotków, Rury, dzielnice gęsto dziś zabudowane, a wówczas noszące jeszcze charakter wiejski i bukoliczny. Obecnie po tych sielskich pejzażach pozostało już tylko odległe wspomnienie. Ulubioną porą, jaką wybierał sobie na wyprawy z aparatem, były zazwyczaj poranki, te najwcześniejsze, zaraz po świcie, kiedy drogą prowadzącą przez podmiejski lasek podążały do miasta wiejskie kobiety, z bańkami mleka zawieszonymi w lniąną chustę przewieszoną przez plecy, i kiedy na Szambelańskiej i na Olejnej można było napotkać tylko przebiegającego szybko chodnikiem kota, a ciszę poranną przerywały jedynie gołębie pogruchujące nad kałużami, pozostawionymi przez nocny deszczyk lub miejskie polewaczki. Słońce zaczynało dopiero wędrówkę po murach, rzucając na ulice długie cienie, a nad doliną Bystrzycy unosiła się poranna mgła.

Okres lubelski, bo tak można by nazwać tych kilkanaście lat twórczych artysty przed jego przeprowadzką do Warszawy, cechują zdjęcia miękkie, romantyczne, przekształcające rzeczywistość w rodzaj wizji łagodnej,

trochę melancholijnej, ale pełnej świeżości. Zakres tematów interesujących Hartwiga poszerza się w miarę upływu czasu: zagląda teraz do małych fabryczek i warsztatów rzemieślniczych, robi studia portretowe, zafascynowany nowymi ludźmi i hałami maszyn. Można też śmiało powiedzieć, że stał się jednym z odkrywców tematu pracy w fotografii.

Twórczość młodego wówczas fotografa zaczynała stawać się sławna w małym światku Lublina i szybko przekroczyła jego granice. W pracowni Hartwiga bywają artyści i amatorzy fotografii: pojawia się Józef Czechowicz ze swoją nieodłączną fajką i poeta Józef Łobodowski. („To oni pierwsi wtajemniczyli mnie w to, czym była awangarda” - wyznaje Hartwig). Wiernie towarzyszy jego poszukiwaniom artystycznym znany w Lublinie miłośnik sztuki, uczeń Wyczółkowskiego - Wiktor Ziółkowski. Pojawia się czasem redaktor „Reflektora” Wacław Gralewski.

Ówczesna pracownia Hartwiga przedstawiała się naprawdę niebanalnie. Był to rodzaj drewnianej budy. nakrytej szklanym dachem, gdzie dopływ dziennego światła regulowany był za pomocą kija, przesuwającego parcie zasłony po rozciągniętym pod oszkleniem drucie. Niezwykłości dodawał wnętrzu objęty ścianami pień starej akacji, której korona, przebijając dach, swobodnie pięła się w górę, obsypując wiosną podwórze pachnącymi kwiatami. Pracownię ogrzewał żelazny piecyk, taki sam jak na zdjęciu Hartwiga, ukazującym malarnię Zenona Kononowicza.

Można powiedzieć śmiało, że ludzkie uznanie i szczęśliwa wena, połączone z nieustanną potrzebą twórczą i pracowitością, towarzyszyły Hartwigowi od początku. Znany i popularny w Lublinie, wcześniej zaczął publikować swoje zdjęcia w czasopiśmie i wysyłać je na wystawy. Nie da się to, oczywiście, porównać z rozgłosem, jaki zdobył sobie po wojnie, ale już w okresie międzywojennym miał swoje miejsce wśród wybijających się fotografików. Jego zdjęcia z Lublina i innych okolic Polski znalazły się na wielkiej Wystawie Fotografii Ojczyściej, zorganizowanej w Warszawie

w roku 1939, tuż przed wybuchem wojny. Stanowiły one wybór najpiękniejszych zdjęć pejzażowych, wykonanych przez niego w latach trzydziestych, a więc w okresie, który w działalności Edwarda Hartwiga stanowi rozdział zamknięty i jednolity w stylu.

A niewiele brakowało, by zdjęcia te zginęły na zawsze. Nie zdążono ich zwrócić właścicielowi w zamieszaniu wojennym, a szansa odzyskania ich podczas okupacji niemieckiej równała się zeru. Jednak odzyskał je, i to w sposób graniczący z cudem. Pewnego dnia, na długo po zakończeniu wojny, zgłosiła się do Stowarzyszenia Fotografików pewna pani, o nieznanym do dziś nazwisku, z prośbą, by przekazano przyniesioną przez nią paczkę Edwardowi Hartwigowi. W paczce znajdowały się starannie przechowane w doskonałym stanie zdjęcia z Wystawy Fotografii Ojczyściej. Można sobie wyobrazić zdumienie i radość odbiorcy.

Nie był to jednak koniec perypetii. Jakiś dziwny pech prześladował te pogodne, zastygłe w swojej łagodnej urodzie pejzaże i sceny miejskie: na kilka dni przed planowaną w Zachęcie wystawą zdjęcia giną po raz drugi, pozostawione w taksówce przez roztargnionego gońca wiozącego paczkę. Pojawiły się apele w radiu i w prasie, bez żadnego echa. I nagle, w przeddzień wernisażu, znów pojawia się, tym razem w drzwiach warszawskiego mieszkania Hartwiga, jakaś młoda oso-

ba i wręcza mu zgubę znaną przez przypadkowych pasażerów, do których dotarł sygnał o poszukiwaniach.

Losy zaginionej dwukrotnie i odnalezionej w tak niezwykłych okolicznościach teki zdjęć Starego Lublina potoczyły się od tego czasu już bez przeszkód. Objechały dziesiątki wystaw w kraju i za granicą, znajdując wszędzie swoich wielbicieli.

Ekspozowano je po raz wtóry w Zachęcie w roku 1975 wraz z fotografiami pochodzącymi z lat późniejszych, a następnie w Kazimierzu Dolnym w roku 1984. Z kolei pojechały do Hamburga, skąd odbyły drogę do Houston w Stanach Zjednoczonych, gdzie wystawiono je najpierw w galerii prywatnej, a następnie w tamtejszym muzeum z okazji święta fotografii światowej (1990). Po powrocie zza oceanu znalazły się na zbiorowej wystawie autorskiej Edwarda Hartwiga (1990), skąd przekazano je na wystawę w Lozannie i Amsterdamie.

Można by zapytać o tajemnicę żywotności tych zdjęć, którym z racji ich wieku należałby się już, być może, spokojny odpoczynek. Ale nic takiego im z pewnością nie grozi, przeciwnie, wciąż przykuwają naszą uwagę i poszukiwane są przez wystawców i amatorów.

*Julia Hartwig*